Nr. 13. We Lwowie dnia 26. Marca 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

EMIL ERCKMANN.

Historja literatury powszechnej nie zna ani Erckmanna, który w tych dniach zakończył pracowity żywot w Lunewilu, ani Chatriana, który umarł przed kilku laty, zna tylko Erckmanna-Chatriana, dwa serca i dwa mózgi, a tylko jedno pióro, braci sjamskich w literaturze powieściowej, nieprawdopodobny przykład stopienia się dwóch indywidualności w jedną, niesłychany również przykład wyzbycia się osobistych ambicji autorskich na rzecz spółki twórczej. Bo przez czas długi po zjawieniu się pierwszej pracy Erckmanna i Chatriana na deskach teatralnych, a była nią „Alzacja", dramat grany po raz pierwszy w Strasburgu, nikt nie domyślał się, że Erckmann a Chatrian to dwaj pisarze, którzy utworzyli bliźniaczą parę literacką niezwykle od pierwszego wystąpienia sympatyczną, a po krótkim czasie niezwykle popularną.

Co wniósł do tej spółki Erckmann, a co Chatrian, pozostanie na zawsze tajemnicą, to tylko wiadomo, że obaj wnieśli do ogólnego dobytku cywilizacyjnego ludzkości kilkadziesiąt dzieł niepospolitej wartości, zapewniających ich twórcom osobną kartę w literaturze beletrystycznej wszechświata. Przypadek zapoznał w r. 1847 Erckmanna, studenta prawa, z Chatrianem, naówczas nauczycielem w kolegjum falcburskiem, a odtąd biografja Erckmanna jest biografją Chatriana i odwrotnie. Biografowie mogliby bez wątpienia dokonać operacji rozłączenia na tych braciach sjamskich, historja jednak literatury operacji tej dokonywać nie będzie. Początkowe występy spółki nie były pomyślne. Kilkakrotnie młodzi pisarze próbowali sił na scenie i w odcinkach dzienników bez powodzenia. Dopiero „L'illustre docteur Mattéus" (1849) zapewnił im poczytność. W malowaniu flamandzkiem zwyczajów i obyczajów Alzacji znaleźli grunt odpowiedni dla rozwoju swoich talentów. Teraźniejszością zajmowali się mało, bo usposobienia ciągnęły ich do przeszłości. „Madame Therèse ou les Volontaires de 93" (1864), „Histoire d'un conscrit de 1813", wreszcie „Waterloo" dowiodły, że Erckmann-Chatrian nie chadzają po dolinach, lecz mogą szybować wysoko, w malowaniu zaś okropności wojny są wprost nieporównani.

Trzy wyżej wymienione powieści wraz z czwartą „l'Invasion" utworzyły cykl znany pod ogólnym tytułem „Romanse narodowe". Co w tym cyklu Erckmann-Chatrian powiedzieć chcieli? To, że ludy zapominają szybko o nieszczęściach, które przechodzili, zwłaszcza w czasie wojen. Szybko, jak wody wiosenne, znikają ślady łez przelanych, krwi zmarnowanej, wielkich wstrząśnień i głębokich boleści. Kto po latach kilku pamięta o rodzinach osieroconych, młodzieży zwichniętej w kwiecie wieku, o demoralizującym wpływie powodzenia na masy? Przychodzą pieśniarze epiczni, którzy wszystkie okropności wojny oblewają zwodniczem a często sztucznie robionem światłem sławy i chwały, a na stosy ciał ludzkich patrzą okiem Napoleona I-go, mierzącego krwawe pola walki nieczułem okiem taksatora żeru dla armat. Pieśniarze płyną wysoko, patrzą na szczyty, a zapominają o dolinach, pogrążonych w dymach zgliszcz i w krwi walk bratobójczych. Raz wstąpiwszy na tę drogę cywilizacyjną w działalności literackiej, Erckmann i Chatrian pozostali jej wierni do końca. Kolejno publiczność rozchwytywała niezliczone wydania „Histoire d'un homme du Peuple", „Guerre", „Histoire d'un paysan", „L'An I-er de la République française", „Patrie en danger". Najsilniejszy protest przeciwko przelewowi krwi znajdziecie w „La Guerre"; najpiękniejsze malowidło flamandzkie oblężonego miasta w „Blocus", opisującem oblężenie Falcburga w r. 1814; najgorętszą apoteozę ludu, budzącego się do życia — w „Histoire d'un paysan".

Działalność literacka Erckmanna i Chatriana niejednokrotnie z ostrą spotykała się krytyką. Ludwik Jourdan nazwał ich księgi „epopeją tchórzostwa", na co odpowiedzieli twórcy „Wojny": „Tak jest. Jeżeli pod wojną rozumiecie rzeź, spowodowaną przez ambicję jednego człowieka, p. Jourdan ma rację: taka wojna budzi w nas wstręt. Pozostaniemy zawsze zwolennikami nowoczesnych przekonań demokratycznych, które odpychają wojnę, jako czynnik postępu, które wreszcie uznają tylko jedną wojnę:

w obronie własnej. Powiadają nam, że obrzydzamy wojnę, a nie wskazujemy środka, któryby mógł ją zastąpić. Owszem, środek taki wskazujemy ciągle, a jest nim poszanowanie praw wszystkich bez wyjątku narodów".

Dziwny urok wieje ze wszystkich prawie powieści Erckmanna-Chatriana. Są to dzieła niemal tendencyjne, ale niemasz w nich tendencji niezgrabnej i brutalnej, któraby przygniatała artyzm. W dziełach tych dwóch pisarzy pełno tęsknoty za ideałami ludu, pełno epickiego niemal spokoju i zadumanego liryzmu. Wiele powieści Erckmanna-Chatriana w przeróbce scenicznej znacznem cieszyło się powodzeniem, zwłaszcza „Le juif polonais" i „Ami Fritz". Treść tego ostatniego utworu posłużyła Mascagniemu za libretto do opery pod tym samym tytułem. Najcelniejsze utwory znakomitej tej spółki pisarskiej zna publiczność nasza z przekładów polskich. Między innemi Wincenty Korotyński przyswoił literaturze polskiej „Teresę", „Rekruta", „Waterloo" i „Oblężenie Falcburga".

13)

Bunt Napierskiego.

Poemat dramatyczny.

Salka Nieznana.

Śpi... nieprzytomna... ponadmiar zmęczona...
Lecz to przeminie... Teraz pójdź w ramiona,
mój królewiczu! W ramiona piastunki,
która dla ciebie troski i frasunki
zniosła niejedne i śród twardej drogi
do krwi kaleczy swoje bose nogi,
pod chamską strzechą chleb owsiany zjada
i przez biskupie szyki się przekrada
i z wichrem zimnej śmierci się szamota,
byś ty się palił ogniami żywota!
Ale twa dusza już gasnąć zaczyna,
jak wilgna słoma...

Napierski (na pół do siebie.)

Ta biedna dziewczyna,
z którą mię serce związało, a może — — —
a może tylko lekkomyślność...

Salka Nieznana.

Boże!
Ta cię zasmuca!? Ona niech ci służy
w tej ku podniebnym wyżynom podróży,
jak wszystko w świecie winno służyć tobie...
Toć król Władysław i mnie... Na tym globie
w okrąg, jak słońce zakreśla swe koło,
ty jeden jesteś!... A więc podnieś czoło!
Długie na ciebie pracowały wieki,
ażebyś powstał, ty jeden — daleki,
a już tak bliski... Wszystko, co twe oko
zobaczyć zdolne w głębiach i wysoko,
wstecz poza tobą i przy tobie — wszystki
rozstrój i wszystka harmonja to listki
na drzewie świata, które rwij bez lęku
i zdepc stopami albo rozgnieć w ręku —
wszystko to środek: ty do celu zmierzaj,
a celem jesteś ty sam.

Napierski.

Wierzaj! wierzaj!
Tylu przedemną było sobie celem,
a przecież padli przed kresu weselem,
klątwą zwiedzionych, jak sforą, ścigani,
ich łzy i smutek otrzymawszy w dani.
Potem zostaje dzieci tłum sierocy,
by im w złowróżbnej, potępieńczej nocy
szepnął ukrytej Szatan świadomości,
że z krwi królewskiej wyrosły, że włości
ich królewskiego dziedzictwa na ziemi
dłońmi wydarła przywłaszczycielskiemi
zgraja rabusiów, że prawo posiadły,
aby tak piły i aby tak jadły
i mogły chodzić w tych samych purpurach,
jak ci, co błyszczą na wszechwładnych górach
tronów złocistych, i aby w swobodzie
mogły kierować swoje strojne łodzie
na jasnych toniach wszelakiej rozkoszy...
Potem w ich wnętrzu dziki zwierz się spłoszy
i ryczeć pocznie. I z rozwartem okiem,
w którem za iskier czerwonym potokiem
kryje się chyłkiem ciemna, niewstrzymana
potęga końca, gnane przez Szatana,
pędzą jak burza, jak szaleńców rzesze,
co wyłamały w zabójczej uciesze
kraty cel swoich!... I nie bacząc wcale,
ilu podepcą w rozhukanym szale,
nad brzeg otchłani ilu porwą z sobą,
już zarażonych ich straszną chorobą,
wciąż pędzą naprzód... I ślepotą zbrojne,
wypowiadają swoim losom wojnę,
bunt przeciw własnej podnoszą naturze
i przeciw Bogu i, podobne chmurze,
w której są gromów łyskliwe zaczątki,
lecą, jak gromy, na Jego porządki —
jeśli porządkiem ktoś nazywać raczy

hańbę krwi naszej, co płodzi w spokoju
wyzyskiwanych i wyzyskiwaczy,
zwyciężających i ginących w boju,
tych, co tchórzliwi i tych, co są śmieli,
uciemiężonych i ciemiężycieli,
i cnych i podłych...

Salka Nieznana

(która podczas tego objawiała zniecierpliwienie i gniew, ironicznie.)

Ha! ha!... Skry się żarzą!
Jeszcze się palisz!...

(Urągliwie.)

Choć tam

(wskazując na drzwi środkowe)

z zimną twarzą
stojąc przed tłumem, nie miałeś już siły,

(zmieniając ton na poważny)

aby zahuczeć nad wzgórzem mogiły,
jak z ponad szczytów granitowych turni,
co od chmur ciemnych spoglądają chmurniej,
huczą te gromy, bez żalu i trwogi
bijące w wilków przerażone stado...
Bądź, jak pioruny, twardy i złowrogi
i hucz pieśń jedną: »Zagłado! zagłado!«
hucz ją bez końca, aż dobiegniesz końca...
Wiem, wiem: ten zachód dzisiejszego słońca
nad miarę kształtu ludzkiego przedłużył
cień twej postaci, i tyś przed nim stchórzył,
przed własnym cieniem — tyś go się przeraził,
synu królewski!

Napierski.

Widzisz: przerażenie,
tak mi się niemal wydaje — jest dzisiaj
treścią mej duszy... Pod jego ciężarem
gnę się i kurczę, maleję, zapadam
w ziemię, jak robak...

Salka Nieznana.

A przecież ty jeden
wziąć powinieneś rozbrat z przerażeniem!
Masz prawo rosnąć, choćbyś swoim cieniem
nie kraj ten okrył, ale i glob cały...
Lecz to ci mówię, że twój blask wspaniały —
nie cień! — nad miarę w okrąg się rozszerzy
i promieniami w przyszłe czasy sięgnie...
Cóż to za mądrość w tej się duszy lęgnie?
Tyś syn królewski! W tobie przyszłość leży,
jakiej dotychczas nie dano nikomu:
Z królewskich ojców wypędzony domu,
nie mędrkuj żaków dobrodusznych wzorem,
którzy w swem wątłem rozumieniu chorem,
okaleczałem na szkolarskiej ławie,
dlatego tylko prawo i bezprawie
za przyrodzoną mają tu konieczność,
ponieważ wzrok ich, uwiązłszy snać wieczność
na martwych zgłoskach butwiejącej księgi,
z poza katedry nie widzi potęgi
złotego tronu... Ty, królewskie dziecię,
tak wzdyć rozumuj: na to są na świecie
ciemiężyciele, aby ciemiężeni
wywarli na nich swą pomstę... Nie zmieni
nic tego prawa: kto krzywdę posieje,
niech zbiera krzywdę...

Napierski.

A jeśli nadzieje
zwiędną przed czasem? Jeżeli skrzywdzony
padnie, nim zemsty dopełni!... Fatalność
chodzi drogami człowieka... Przed chwilą
obdarty żydek, tutaj, w tej komnacie
wspomniał, tak sobie, nie wiedząc, co czyni,
pieśń konających — Awinu malkenu
i ja... zadrzałem... Dla czego?

Salka Nieznana.

Boś tchórzem!

Napierski.

Nędzna żebraczko! skądże ta bezczelność?

Salka Nieznana.

Mam tutaj prawo być nawet bezczelną,
jeśli potrzeba. — Jestem twoją — matką!

Napierski.

Matką?!... Łżesz podle!... nigdym ja swej matki
nie widział w życiu!

Salka Nieznana.

I ją z królewskiego
wygnano domu, aby król przed sobą
nie miał żywego wyrzutu sumienia,
któryby patrzał nań oczami — krzywdy.
Lecz gdy tę krzywdę puszczono na wichry,
na śnieg, na burzę, na spiekotę słońca,
nikt jej nie umiał zagasić gryzących
ogni w źrenicach, nikt jej nie odebrał
władzy w tych nogach

(ściśniętą pięść podnosząc do góry)

ni w pięściach, nikt w gardle
nie umiał zdławić jej głosu — strasznego,...
jak stal brzytewna krającego głosu.
Biegła, pełzała wiła się w rozpaczy,
krzycząc ku niebu o pomszczenie...

Napierski.

Matko!

Salka Nieznana.

Cicho! nie jestem twą matką... Piastunką
jestem-li twoją, a może i... Zresztą:
Małoż jest ludzi na świecie, dla których
krzywda nie była piastunką — czy matką?

Napierski.

Nieszczęście!... nieszczęście!...
I ja skrzywdziłem

(wskazując ku drzwiom na lewo)

tamtę... Biegać będzie,
pełzać i wić się i krzyczeć w rozpaczy
k'niebu o pomstę — niech się tylko zbudzi
z nieprzytomności...

Salka Nieznana.

Dzieckiem ją nazwałeś!...
Dziecko!... Tak!... dziecko... I zostanie dzieckiem
zawsze do końca... Wiecznie marzyć będzie
o tych aniołach, schodzących na ziemię,
aby prowadzić ku krainie złudy
wierzące dusze... A gdy się zawiedzie,
jeszcze swej wiary zemstą nie opłaci...
Dziecko... tak, dziecko...

Napierski.

Nieraz w takich dzieciach,
tulących w łonie różowe marzenia,
budzi się groza, tem niebezpieczniejsza,
im większą była ich złuda...

Salka Nieznana.

Jak owca
grzechotem węża, tak ona pobita
czarem twej władzy, którą naokoło
rozsiewasz okiem, licem i postacią,
odwagą, siłą i wielką nadzieją
rajskiego życia, co ich z upodlenia,
z pyłu niewoli, z głodu, z niedospania —
tych psów w obroży, bitych i kopanych,
podnosi naraz ku wyżynom ludzi.
Wdzięczną ci będzie, żeś jej w biednem sercu
w tem chłopskiem sercu, rozżegnał świadomość,
jako jest godnem, by je miłowały
syny królewskie...

(Mała przerwa.)

Napierski

(po chwili, w zamyśleniu.)

A Czepiec?...

Salka Nieznana.

Awinu
malkenu?!... Boisz się Czepca?... Posłuchaj:
Raz przeznaczenie, u siebie samego
będąc za sługę, pędziło
woły na rzeź...
Co się nie dzieje?... Ot, żal uczuło
chciało się wrócić z swej drogi,
ale nie mogło...

Napierski.

Ha!... Ale nie mogło!...
Straszna przypowieść... dobrze ją rozumiem...
I bez zdziwienia usłyszałbym dzisiaj,
żeś uraczyła nią i — Czepca... Ha! ha!

Jan Kasprowicz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

5)

Z wycieczki do Słowacji.

(Ciąg dalszy).

Po ogłoszeniu języka madziarskiego za język urzędowy (r. 1792) i po wydaniu ustaw, szerzących i utrwalających madziaryzm na zgubę innych narodów, zamieszkujących Węgry, rozpoczęła się walka, z początku publicystyczna, a w końcu czynna. Słowacy w czasie powstania węgierskiego (r. 1848) stanęli po stronie wojsk cesarskich, a przeciwko madziarom. Po manifescie Kossutha zapanował na Słowacji terroryzm, któremu kres położyła dopiero kapitulacja pod Vilagos. Kiedy po wojnie austrjacko-włoskiej absolutyzm zmuszony był przyznać pewne prawa narodowościowe, słowacy też za przykładem innych narodów, wchodzących w skład monarchji, upomnieli się o swoje prawa. W roku 1861 zgromadziło się w św. Marcinie turczańskim około 6.000 wysłańców z różnych okręgów, miast i wsi, którzy wystosowali *memorandum* do sejmu krajowego z żądaniem odrębności i państwowości języka w szkole, w kościele i w sądach, założenia słowackiej akademji prawniczej i otworzenia katedry języka i literatury słowackiej na uniwersytecie peszteńskim. Sejm nie dał żadnej odpowiedzi. Wtedy słowacy zwrócili się do cesarza.

Na czele deputacji stanął mąż niepospolity, człowiek wielkich zasług, dr. Stefan Moyses, biskup bańsko-nitrzański. Cesarz przyjął deputację łaskawie i przyrzekł poparcie. Jakoż istotnie okazał się wkrótce pewien postęp. Węgrzy, a raczej madziarzy dopuścili język słowacki do szkół średnich, a wybitnych słowaków do posad rządowych, pozwolili na otwarcie kilku szkół prywatnych, jak wyższe gimnazjum w Wielkiej Rewucy, niższe gimnazjum ewangelickie w św. Marcinie i szkoła realna w klasztorze pod Zniewem. Drugiem następstwem petycji było zatwierdzenie ustawy „Macierzy słowackiej“, t. j. stowarzyszenia naukowo-literackiego. Trudność była tylko z wynalezieniem siedziby, gdyż żadne miasto nie chciało się narazić madziarom. Dopiero św. Marcin turczański, współzawodniczący w przewodzeniu ruchowi słowackiemu z św. Mikułaszem liptowskim,

zdobył się na odwagę i przyjął do siebie „Macierz słowacką“. Dzień 4. sierpnia 1863 r. stał się momentem uroczystym życia narodowego słowaków. Przyszło potwierdzenie statutu wraz z kwotą 1000 złr., które cesarz przysłał na cele „Macierzy“. W krótkim czasie zebrano 100000 złr., wzniesiono „dom Macierzy“, założono bibliotekę i muzeum, zabrano się raźnie do wydawania książek i krzewienia sztuki, do urządzania zbiorów artystycznych, naukowych, przyrodniczych i archeologicznych, do rozbudzenia ruchu umysłowego wogóle za pomocą zasiłków doraźnych i konkursów i postanowiono w dniach 2., 3. i 4. sierpnia obchodzić doroczną uroczystość narodową w duchu czysto pokojowym, na tle życia towarzyskiego i literacko-artystycznego.

Nastał rok 1868, a wraz z nim dualizm austro-węgierski. Madziarowie, ująwszy władzę w swe ręce, raźno wzięli się do rzeczy. Przedewszystkiem, przekręciwszy pojęcie „kraju węgierskiego“ na „naród madziarski“, postanowili stworzyć jednolite państwo z jednym językiem madziarskim i jedną kulturą madziarską. Ustęp 44. z § 26. konstytucji z r. 1868, zabezpieczający, na wniosek szlachetnego Eötvösa, prawa narodom madziarskim, pozostał martwą literą. Wszakże już w kilka lat potem prezes ministrów węgierskich, Koloman Tisza, nie zawahał się wypowiedzieć w parlamencie zdania, iż „słowaków niema!“

Co prawda Słowacji, jako kraju z granicami ściśle określonemi, niema, ale słowacy są; dość jest tylko postawić nogę na bruku św. Marcińskim w dniu 2. sierpnia i dość jest zetknąć się na chwilę bądź z ludem, bądź z inteligencją, aby się o tem przekonać dowodnie.

Słabą stroną uroczystości sierpniowej jest to, iż nie uczestniczy w niej lud. Słowacy, jako naród nawskróś demokratyczny, bo szlachta wynarodowiła się od wieków, powinniby w tym dniu stanowić jedną rodzinę. Tymczasem tak nie jest. Uroczystości św. marcińskie (swatomartinske sławnosti) mają na celu jedynie krzepienie ducha wśród iteligencji. Lud, zarówno z powodu pory niedogodnej, gdyż jest to czas żniw, jak i wysokiego poziomu uroczystości, nie bierze w nich udziału. Co prawda, prawie cała inteligencja słowacka wyszła z ludu; niema zatem potrzeby urządzać dlań zabaw; sam przykład działania i życia wystarcza. Niemniej jednak nam, przyzwyczajonym do ostentacji w strojach, do uroczystości barwnych, nieobecność ludu na ulicach miasta wydała się dziwną. Podobno „stowarzyszenie śpiewacze“ powtarza w końcu grudnia swój występ i wtenczas miasto wygląda inaczej.

Po drodze spotykamy jedynie młodzież płci obojej w koszulach wzorzystych na modłę ludową.

W redakcji „Narodnich Nowin“ zapoznajemy się z kilkoma współpracownikami, którzy udzielają nam informacji. Nie chcąc przeszkadzać im w pracy na gwałt, bo drukarnia czeka, zmawiamy się na godzinę dwunastą w południe do jakiejś małej piwiarni. Jedynie pan Światozor Hurban nie chce nas pozostawić samych i towarzyszy nam do muzeum. Przechodząc około jakiegoś dużego domu, który wygląda na gmach rządowy, czy koszary opuszczone, pytamy naszego towarzysza co to za dom szczególny?

— Dom?... to ruina naszego pomnika, naszego dzieła narodowego; to dawna siedziba naszej „Macierzy“. Ile strat, ile nadziei zawiedzionych! Praca literacka i cwilizacyjna zaczęła się rozwijać tak pomyślnie, iż sami dziwiliśmy się jej postępowi. Wprawdzie pierwotnie hasłem naszem w *memorandum* było: „wolne państwo (węgierskie), a w niem wolność, równość i braterstwo narodów“, lecz następnie chcieliśmy już tylko utrzymać język, krzewić oświatę, szerzyć moralność, przechowywać cnoty narodowe, odgrzebywać pomniki przeszłości. I tego madziarom było za wiele! Dzienniki ich zaczęły nas oczerniać i pomawiać o panslawizm. Potrzeba było przytem nieszczęścia, iż przedstawiciel „Macierzy słoweńskiej“ z Lublany nieprzychylnie wyraził się o madziarach na jakiejś uroczystości w Zagrzebiu. Ponieważ w obu językach, po słoweńsku i po słowacku, „Macierz“ nazywa się słoveńska, stąd pochop do rozwiązania „Macierzy słowackiej“. Zanim śledztwo zostało wdrożone, już z rozporządzenia ministerjum „Macierz“ nasza przestała istnieć. — W dniu 5. lutego 1875 r. dom zabrano na sąd powiatowy, majątek w sumie 100000 zł. przelano do kasy państwowej, zbiory przewieziono do Pesztu i ustanowiono osobnego komisarza z pensją 600 złr. rocznie. Obecnie madziarowie za nasze pieniądze wydają dwa pisma w Peszcie: „Słoveńskie noviny“ i „Vlast a Sviet“, których zadaniem jest krzewić madziaryzm wśród ludu i zohydzać mu jego mowę ojczystą. Wszyscy słowacy, znajdujący się na służbie państwowej, są obowiązani prenumerować przynajmniej jedno z tych pism. Oto co stało się z naszym groszem wdowim! Nie koniec jednak na tem! Równocześnie z tym gwałtem zamknięto szkoły w św. Marcinie, w Wielkiej Rewucy i w klasztorze pod Zniewem, a nadto usunięto ze szkół publicznych język słowacki, który przez czas jakiś był wykładany. jako przedmiot nadobowiązkowy.

Jakiż tego powód istotny?

Zemsta za rok 1848 i szowinizm narodowy. Wszakże już w roku 1843 Leon hr. Thun, późniejszy minister austrjacki, wydał broszurę „Stanowisko słowaków na Węgrzech“, w której zarzucił węgrom brak poczucia sprawiedli-

wości, zmysłu politycznego i patrjotyzmu prawdziwego.

„Cóż-bo jest powodem -- pyta hr. Thun, — iż madziarowie boją się słowian i chcą ich za jakąkolwiekbądź cenę zaprzepaścić w morzu madziaryzmu? Oto nie względy przedmiotowe, nie rozumowanie, lecz chorobliwie rozdrażnione poczucie narodowości, szowinizm, ślepa namiętność. Ideja wszechmadziarska ma uratować Węgry, ma wzmocnić „słabe i odosobnione stanowisko madziarów w Europie środkowej", ma uchronić patrjotów madziarskich od kosmopolityzmu! Nie kochacie — kończy hr. Thun — waszej całej ojczyzny, ale ulegacie próżności namiętnej, która czyni was nieczułymi na wszystko inne, ślepymi na prawdziwe dobro waszej ojczyzny i całego świata! Mówicie bezrozumnie, szermując słowami, za które rumienić się musi ten, kto je słyszy!"

Antoni Sygietyński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

9)

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

(Ciąg dalszy).

Tak więc zrana tego dnia, kiedy miał zapaść wyrok, a zatem o kilkanaście godzin przed jego wydaniem, było już w policji irkuckiej gotowe rozporządzenie do ks. Szwermickiego, proboszcza Irkucka, ażeby o wieczornej porze stawił się do więzienia dla dysponowania na śmierć Eichmilera. To rozporządzenie zostało doręczone proboszczowi o godzinie 11 z rana, a sąd wydał wyrok dopiero o godzinie 3 popołudniu.

Generał gubernator sam osobiście jeździł, jeszcze przed wydaniem wyroku na plac kaźni, ażeby się naocznie przekonać o tem, czy dół, przeznaczony na mogiłę dla skazanego, jest dosyć głęboko wykopany. Przygotowaniem tego dołu sam wielkorządca raczył się zaprzątać i wydawać odnośne rozporządzenia na miejscu *).

Z tych dwóch, wyżej przytoczonych faktów, można się przekonać dostatecznie, że wyrok został już z góry postanowiony i że cały ten sąd był po prostu komedją, odegraną „gwoli przyzwoitości" („dla pryliczja").

Żaden głos z całej zgrai czynowniczej, która otaczała wielkorządcę, nie podniósł się w obronie podsądnego, wszyscy kornie chylili głowę przed wolą despoty; atoli inaczej się zapatrywali na tę sprawę Sybiracy, a jakkolwiek i oni milczeli, zahukani i przywykli do kornej, niewolniczej uległości wobec władzy, ale w poufnych z nami rozmowach wyrażali głębokie współczucie dla Eichmilera i podziw nad odwagą człowieka, który jeden, jedyny z setek tysięcy maltretowanych i do niewolniczego upodlenia ducha doprowadzonych istot ludzkich, śmiał podnieść rękę na tyrana i zaprotestować publicznie przeciwko bachanalji jego despotyzmu, będąc przytem świadomy, że za tę śmiałość życiem przypłaci, bo jak on, tak i każdy z nas wiedział już zawczasu, że:

Walkę z nim stoczy sąd krzywoprzysiężny;
A placem boju będzie dół kryjomy,
A wyrok o nim wyda wróg potężny.

*

że:

Zwyciężonemu, za pomnik grobowy
Zostaną suche drewna szubienicy,
Za całą sławę krótki płacz kobiecy
I długie nocne rodaków rozmowy...

*

Czulsze i gorętsze serce, niż je mają ludzie przeciętni, wierniejsze uczucie przyjaźni, niż zwykłe człowiecze, okazał biedny pies Eichmilera. Po wtrąceniu tego ostatniego do więzienia, obrał on sobie za stałe miejsce pobytu pobliże kazamat, skąd na krótkie tylko chwile wieczorne oddalał się dla przyjęcia pożywienia w dawnym domu swojego pana. Na plac kaźni wlókł się za osądzonym na rozstrzelanie, nie ustępując przed siłą brutalną i biciem barbarzyńskiem. Gdy przywiązano następnie skaza-

*) Może kiedyś, gdy dokładniej zbadane będą ciemne głębie duszy potworów-tyranów — zdołamy odpowiedzieć na pytanie, co parło generał-gubernatora na miejsce kaźni i jakie pobudki nim kierowały, gdy wydawał rozkazy o pogłębieniu dołu mogilnego. Dzisiaj jednak z boleścią i smutkiem patrzeć tylko musimy w te dusze, dla nas niezrozumiałe a wstrętne, nie będąc zdolni dać należytej odpowiedzi na powyższe pytania.

nego do słupa, legł u stóp jego, niby towarzysz wierny i nie dał się odegnać. Po wystrzałach, kiedy nawpół żywego jeszcze Eichmilera wrzucono do mogiły, zaczął jęczeć żałośnie, a po zasypaniu dołu legł na kopcu i już nie powstał: skonał na grobie przyjaciela, którego kochał więcej, niż samego siebie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Fr. MAŽURANIĆ.

Męki.

Poszedłem z przyjacielem na polowanie. Strzeliłem do gołębicy. Padła! — — Ale była tylko raniona, trzepotała się.

Mój Wilkodław uchwycił ją zębami niezbyt delikatnie. — Udusi biedaczkę — pomyślałem.

Nieszczęsna gołębica żyła jednak, gdy pies mi ją przyniósł. Aby skrócić męki, przełamałem jej szyjkę i wrzuciłem w torbę.

W godzinę później skręciliśmy do gospody na śniadanie.

Zaglądam do torby — i cóż widzę? — Gołębica wciąż jeszcze żyje.

Przyjaciel — zawołany myśliwy — wyrwał jej pióro i przekłuł ją myśliwskim zwyczajem.

Biedna gołąbka musiała więc tym sposobem trzykrotnie śmierć ponosić!

Wróciwszy do domu, odesłałem upolowaną zwierzynę do kuchni.

Po chwili zjawia się kucharka: „Jedna gołębica jeszcze żyje, co mam z nią zrobić?“

Była to ta sama nieszczęsna ptaszka, którą strzelano, katowano, a w końcu próbowano żywą z pierza obedrzeć!

Ulitowałem się i darowałem jej życie. Nie była ciężko raniona — miała tylko skrzydło zgruchotane — więc ozdrowiała.

Skacze sobie teraz po moim pokoju i przyjaźni się z Wilkodławem.

. . . .

Nieboraczka! Strzelano do niej, przełamano jej kark, przebito ją, za życia oskubywano z pierza, a ona wciąż jeszcze żyje!

I bawi się z nią to samo psisko, które ją dusiło, które na skinienie swego pana gotowe dusić ją znowu...

Biedna — —!

Na odległość.

Czy zdarzyło ci się kiedy, czytelniku, przypatrywać tańcom, nie słysząc muzyki? Naprzykład z położonego naprzeciw okna?

Jak niedorzecznymi wydają się nam wówczas tancerze i tancerki, którzy się kręcą, niby marjonetki! Śmiech nas porywa, gdy widzimy otwierające się i zamykające usta, a nie słyszymy głosu. A jak niemądrą wydaje się twarz, śmiejąca się z niewiadomych nam powodów.

Albo przypuśćmy, że siedzisz zamknięty w swoim pokoju.

Jakże dziwacznie brzmi ci w uszach śmiech, dolatujący z ulicy!

Zbliżasz się do okna.

Spostrzegasz dwóch poważnych panów, rozmawiających na środku drogi i powaga ich pobudza cię do wesołości.

Jeden otwiera i zamyka usta, niby na komendę, wymachując przytem rękami. Drugi nadstawił lewe ucho i przysłuchuje się z widocznem nabożeństwem. Od czasu do czasu role rozmówców zmieniają się.

Nareszcie przychodzi chwila pożegnania. Podają sobie ręce, kłaniają się, układają twarz do uprzejmego uśmiechu, potem odwracają się do siebie plecami i każdy idzie w swoją stronę.

Najzabawniejszym jednak bywa wyraz, zjawiający się na twarzy wówczas, gdy ktoś usiłuje być poważnym: oczy spoglądają już chmurnie, a całe oblicze jeszcze jaśnieje. W takiej chwili człowiek zwykł się oglądać, czy ktoś nie obserwuje go z boku i czy nie widzi, że on się sam do siebie śmieje. Rozumie, jak niemądrą ma wtedy minę.

— — — W ogóle biorąc, wszystko, czego przyczyn nie rozumiemy, wydaje się nam mniej lub więcej zabawnem.

Nawet płacz narodu śmiesznym się wydaje wielu ludziom, którzy patrzą nań z daleka. Widzą łzy, a nie rozumieją ich powodu.

Przystąpcie bliżej, panowie, a może wówczas odechce się wam śmiać!

Słowak.

Oto, co nasz generał, niemiec, opowiedział nam przy stole:

„Stałem załogą w górnych Węgrzech. Przejeżdżając przez most, często bywałem świadkiem, jak pewien kulawy żyd, który pobierał mostowe, wykupywał za połowę ceny towar od włościan, idących na targ do miasta.

Ten i ów próbował opierać się i nie chciał sprzedawać, ale żyd nie ustępował, dopóki nie postawił na swojem.

Pewnego razu nadjechałem właśnie, gdy ów cherlak znęcał się nad olbrzymim chłopem i towar gwałtem mu wydzierał.

Włościanin wszelako nie chciał ustąpić, a wtedy żyd począł go bić.

— Bój się Boga, człowiecze! — zawołałem — i jakże możesz dać się tak katować, kiedyś mocniejszy od żyda?!

Słowak spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem, widocznie dotąd nie przychodziło mu nigdy na myśl, aby i on mógł kogoś uderzyć!

Nagle porwał żyda za kołnierz, cisnął nim o ziemię i począł go okładać. Byłby go zabił, gdybym nie zawołał: „Dość!“

— Ci Słowianie są to dziwni, naprawdę, ludzie“ — kończył opowiadanie generał.

O tak, bardzo dziwni!...

Tłum. z chorwackiego

M. Wysłouchowa.

Z pism i książek.

Tygodnik Illustrowany, rozpoczynając druk pracy Stanisława Przybyszewskiego, p. t. „Jasne noce“, przytacza w kronice ustęp z jego listu do redakcji, który tu, jako wielce wymowny, powtarzamy w całości:

„Urodziłem się w 1868 r. — pisze p. Przybyszewski. — Ojciec mój był nauczycielem wiejskim w ustawicznej walce z biedą... Matka — niezwykle muzykalna i święta kobieta. Jej mam do zawdzięczenia moją miłość do muzyki, która przechodzi w manjactwo. Wyrosłem na Kujawach, w niezwykle pięknej okolicy, którą kocham więcej, niż najpiękniejsze obrazy Norwegji lub Hiszpanji. Tam odebrałem moje najsilniejsze wrażenia, wszystko to, co dotychczas w moich pismach się przejawia: te nasze noce księżycowe, nasza jesień, nasze płaszczyzny, jezioro Gopło, i szańce szwedzkie, i nasze ogrody, i wierzby, bagna i torfowiska, i... i... mógłbym wyliczać to wszystko, co mi tak w serce wrosło, całymi dniami.

„Będąc dzieckiem, pisałem antyfony i litanje, potem psalmy i mowy pogrzebowe, a wreszcie wiersze, wiersze bez końca, wzorowane na Słowackim i Ryszardzie Barwińskim, którego cenię, jako jednego z naszych największych poetów.

„Pierwsze słowo niemieckie usłyszałem, mając lat dwanaście; potem oddano mię do gimnazjum. W szkole byłem leniwy, bo zawsze się czem innem zajmowałem, ale szło mi dobrze...

„Po ukończeniu gimnazjum poszedłem do Berlina na studja. Rozpocząłem architekturą i historją sztuk pięknych; po roku przerzuciłem się na medecynę, głównie dla psychologji fizjologicznej, studjowałem pięć lat, napisałem obszerną rozprawę o strukturze mikroskopijnej rdzenia pacierzowego i kory mózgowej, pracowałem nad historją, zwłaszcza czasów Napoleońskich i nad filozofją — głównie Fechnera — redagowałem pismo polskie, Bóg wie, czegom wtedy nie robił.

„Wtedy poznałem moją żonę, a kiedy dwoje ludzi różnego rodzaju kocha się, to się chcą żenić, czyli pozostać razem. Ale aby się ożenić, na to trzeba mieć kawałek chleba w ręku, więc zostałem literatem.

„Rozpocząłem pisać po niemiecku, bo nie miałem najmniejszych stosunków w Galicji, bo trzeba było gwałtownie na chleb zarabiać, bo miałem już pewne nazwisko w Niemczech, tysiące „bo“, których wyliczać mi się nie chce, tak często to wszystko powtarzałem: „Jestem na wskróś Polakiem — żona Norweżka; ale dzieci po polsku chowane; żonie się trudno po polsku nauczyć, tem bardziej, że dotąd pisałem tylko po niemiecku“...

Taki głos serdecznego wyznania Przybyszewski słał przed rokiem ku swoim z za Pirynejów, gdzie wówczas przebywał. Ale ziemia, co wykarmiła go piołunem swych bolów i miodem nadziei, ta ziemia rodzona, z której czerpał, jak Anteusz, moc i natchnienie, nie utraciła władzy nad nim, choć dalekim. Wołała ku sobie nieobecnego, chciała wziąść w posiadanie jego ciało i jego ducha. — I musiał być jej posłuszny: zamieszkał wśród swoich i pisze dla swoich, którzy za serce płacą mu sercem .. *M.*

Błędy językowe.

Tentent, czy tętęt, czy tentęt, czy też tętent? Najlepiej tętęt, bo to wyraz szczeropolski, nie tak, jak np. kontent, moment itp.

Jawić się używa się tylko w stylu poetyckim, zamiast zjawić się, pojawić się.

Z drukarni K. Wiesnera we Lwowie.